

RACHUNEK SUMIENIA

(w oparciu o rozważania Drugiego Okresu)

Czy jestem przekonany o konieczności poznania siebie takim, jakim jestem, z moimi dobrymi i złymi skłonnościami?

Czy próbowałem wyznaczyć sobie ideał, który chcę w swoim życiu osiągnąć?

Czy odpowiada on moim możliwościom?

Czy w pracy nad jego osiągnięciem zużytkuję nawet słabą stronę mojego charakteru?

Czy próbuję zdać sobie sprawę z przyczyn, z intencji moich dobrych lub złych czynów, z upodobań, lęków?

Czy łapię na gorąco moje reakcje, by sobie uświadomić prawdziwe podłoże mojego charakteru? Czy w tym celu wykorzystuję z wdzięcznością uwagi mego otoczenia (także te nieżyczliwe i prześmiewcze)?

Czy znam przyczyny moich sukcesów – dlaczego mi się coś udało?

Czy umiem obiektywnie ocenić: mam rację, czy też nie mam racji?

W jaki sposób reaguję na opatrnościowe zrządzania Boże?

Czy jestem niezadowolony, zbuntowany, czy też gotowy na przyjęcie woli Bożej takiej, jaką ona jest?

Czy staram się w zmieniających się okolicznościach mojego życia zobaczyć przejawy woli Bożej? Czy widzę w nich dobroć i miłość do mnie?

Czy staram się wytłumaczyć to innym, którzy tylko narzekają?

Czy naprawdę wierzę w opatrnościową opiekę Bożego Ojcostwa nade mną? Czy świadczę o tym? Czy dostatecznie ufam Bogu w próbach i przeciwnościach?

Czy mam poczucie obowiązku?

Czy jestem gotowy na wszelkie ofiary, aby być wiernym swoim obowiązkom, by je sumiennie spełniać, ponieważ Bóg nakazuje mi tę pracę i sposób jej wykonania?

Czy jestem przekonany o wielkiej wartości dobrze spełnionej pracy (jej wartości ludzkiej i jej wartości uświęcającej – Bożej)?

Czy zdaję sobie sprawę z tego, że wszystko co mnie odrywa od mego obowiązku stanu, który jest wolą Bożą, na pewno mnie wykoleja i w gruncie rzeczy prowadzi do nieszczęścia?

Czy próbowałem poznać swój temperament?

Czy jestem tak wytrwały i żarliwy, że nic mnie nie zniechęci, jeżeli chcę dojść do postawionego celu, czy też może przeciwnie: jestem nieśmiały, załękniiony, ulegający zniechęceniu?

Czy cofam się przed odpowiedzialnością, przed podjęciem decyzji?

Czy jestem melancholijny, marzycielski, nadmiernie wrażliwy, czy też wesoły, pobudliwy i zbyt nerwowy?

Czy jestem energiczny i uparty, czy raczej bezwolny i kapryśny?

Czy dbam o swoje wygodę, czy też nie żałuję wygod materialnych dla dobra sprawy, którą mam wykonać?

Czy chcę kochać, udowadniać moje przywiązanie i poświęcenie się dla tego, kogo miłuję, czy też raczej egoistycznie zasklepiam się w sobie?

Czy swoim temperamentem (a więc czymś co jest takie jakie jest i na co nie mam wpływu) tłumaczę sobie niekiedy braki w swej miłości do Boga i bliźniego?

Do czego jestem bardziej skłonny: do krytyki innych, czy też do działania z innymi?

Czy jestem rozważny i roztropny, czy raczej porywczy, bałaganiarski?

Czy jestem sumienny?

Czy rzeczywiście staram się być moralnie coraz lepszy?

Czy staram się być prawy i powściągliwy w słowach?

Czy mam skłonność do samochwalstwa? Jeśli tak, to czy chwale się nawet tym, czego powinienem się wstydzić?

Czy jestem świadomy, jak wielki mam/mogę mieć wpływ na moje otoczenie?

Czy mam jakieś wątpliwości co do tego, czy ten wpływ jest dobry, czy też zły?

Czy ten dobry wpływ kojarzę przede wszystkim z apostołowaniem?

Czy ociążam się w apostołskim działaniu?

Jeśli się ociążam, to z jakiej przyczyny: z lenistwa?; dla wygodę (miłość własna)?; bo lubię święty spokój?; nie lubię się wysilać?; z obawy przed nieuniknionymi upokorzeniami (tchórzostwo)?; z powodu fałszywej pokory („ja nie umiem”; „nie jestem godny”; „inni zrobią to lepiej ode mnie”)?

Czy wprowadzam w życie zasadę, że bez głębokiego życia wewnętrznego nie ma apostołstwa?

Czy wywierając ów dobry wpływ na ludzi widzę siebie jako zaledwie mało zdadne narzędzie w ręku Boga, działające na chwałę Bożą, a nie dla własnego wyniesienia?

Czy dziękuję Panu Bogu, że zechciał mnie uczynić swoim narzędziem?

Czy naprawdę rozumiem, że być wodzem to nie znaczy rozkazywać, ale służyć innym, służyć wszystkim co się ma – za przykładem Jezusa?

Czy jestem zdecydowany tak jak On iść na Kalwarię, to znaczy przyjąć wszelkie upokorzenia i cierpienie, byle tylko pociągnąć dusze ku Niemu?

Dobroć podbija ludzkie serca. Czy w takim razie staram się być dobrym dla wszystkich?

Czy staram się być dobrym dla wszystkich, tzn. nie tylko dobrym dla dobrych (i tych, których lubię), lecz także dobrym dla złych (i tych, do których czuję wstręt)?

Czy staram się promieniować pokojem, uspokajać niezgody?

Czy staram się o prawdziwe miłosierdzie, które, z miłości, usuwa cudze braki duchowe i materialne? Czy staram się o pogodę ducha i zwykły, prosty uśmiech, które ratują czasem ludzkie serca i usposabiają je do dobra?

Czy nie drzemię w wygodnym, ciemnym, pospolitym zadowoleniu z siebie, w „błogim samouznaniu”, nie zauważając innych – tego co czują, czego potrzebują, do czego dążą?

Czy jestem egoistą, nastawionym na to, by mu okazywano dobroć, tj. słuźono mu i doceniano go?

Czy jestem zdecydowany na każdej drodze, na jakiej mnie Bóg postawił, trzymać się tej jednej zasady: Służyć i bezgranicznie kochać Boga i moich braci?

Czy jestem przekonany, że ta zasada jest najlepszym środkiem do mego szczęścia, do pełnego rozwoju mojej osobowości, do mojego uświęcenia?

Niezależnie od tego, jakie jest moje powołanie życiowe, słyszę wezwanie Chrystusa do zjednoczenia się z Nim i zupełnego oddania siebie na służbę braciom: Czy nie mam pokusy udawania, że tego nie słyszę?

Czy boję się usłyszeć, że mój największy Przyjaciel wzywa mnie do jeszcze większego oddania, do jeszcze większej ofiary?

Czy boję się ofiary, jakiej Pan Jezus żąda od tych, których zaprasza, aby byli Jego przyjaciółmi? Czy rozumiem, że taka ofiara jest warunkiem pełnego rozwoju mojego życia i pomocy moim braciom?